

Marzec Januta z d. Bodnar ur. 30. listopada 1932r. w Majdanie Górnym pow. Nadwórna woj. Stanisławów. Matka z d. Biesiadecka, ojciec Piotr Bodnar oraz rodzeństwo brat Stanisław i Ryszard Bodnar. Ojciec był gajowym mieszkaliśmy w leśniczówce, do której należało kilka hektarów ziemi uprawnej i łąk.

Chowaliśmy bydło, konie i trzodę chlewną. Ojciec był również zamiłowanym bartnikiem, posiadał pasiekę około 50 uli pszczół.

Żyliśmy zgodnie i szczęśliwie do chwili-wkroczenia Armii Czerwonej w 1939r.

Dnia 10 lutego 1940r. godz. 4 rano silne uderzenia do drzwi wejściowych zerwało wszystkich domowników na nogi. Do mieszkania weszło kilku uzbrojonych ludzi i przede wszystkim pytali o ojca i broń.

Ojciec poprzedniego dnia poszedł do swojej siostry w Nadwórnej.

Przeprowadzono rewizję, zrywano podłogi, rozwalano meble, przy okazji sporo cenniejszych rzeczy zginęło. Po rewizji mundurowi opuścili dom zakazując opuszczenia go nam. Nasza mama upewniwszy się, że odjechali kazała nam tj. mnie i braciom przebywać w domu, a sama pośpiesznie poszła do swojej matki, naszej babci, aby ich powiadomić o rewizji, oraz swoją siostrę Helenę Żuber, która też tam mieszkała ze swoją rodziną mężem Józefem i trzema synami. Mama zbliżając się zobaczyła NKWD, jak ładowało na sanie rodzinę jej siostry, zrozumiała, że nie ma co wracać do domu.

Sądziła, że samych dzieci Sowietci nie zabiorą. Tym czasem, po około dwóch godzinach do domu przywieziono ojca zapłakanego.

Kazano się spakować, zabrać niezbędne rzeczy i odzież, pytano o mamę.

Najstarszy brat, Stanisław, powiedział, że mama poszła do babci, on po nią pójdzie, zgodzili się. Kiedy więc Stanisław biegł, a musiał przez las, spotrzyła go mama i zatrzymała twierdząc, że ojca z dwojgiem małych dzieci nie wywiozą, pomyliła się. W domu okropna rozpacz, bez mamy nie chcemy nigdzie się ruszać, ale żołdacy byli nieugięci. Siłą, bezlitośnie załadowano całą trójkę na sanie i wywieziono na stację do Nadwórny. Cały dobytek, cały majątek pozostawiono. Na stacji stał już pociąg wagonów bydłowych, przystosowany do transportu, to znaczy były tam prycze drewniane, piecyk "koza" pośrodku, w rogu otwór "WC". Okna i jedne drzwi zabite na głucho, do wagonów pakowano kilka rodzin, warunki gorzej niż tragiczne.

Przy tym należy dodać przenikające zimno i panujące mrozy, przecież to środek zimy. Deportowani to przede wszystkim inteligencja, było też sporo bogatych Żydów. Podróż w warunkach urągających człowiekowi trwała prawie miesiąc. Czasami na stacjach podawano znikome ilości gliniastego chleba, czasami jakąś lurę, co nazywało się zupą, a przede wszystkim przede wszystkim przegotowaną, a upragnioną wodę, tak zwany kipiatak.

Miejscem docelowym była Rakitianka, rejon mednagorski, obłaść Czkałów.

W tej miejscowości znajdowały się trzy szyby kopalni rud żelaza. Łagier otoczony drutem kolczastym, co pewien odcinek wieżyczki strażniczej, wewnątrz małe "domki"-lepianki do których pakowano po trzy rodziny. Wyposażenie to przede wszystkim łóżka żelazne i ...nieprzeliczone ilości pluskiew. Lepianki były oświetlone elektrycznie, ale prąd był włączany w komendzie. Jeśli w nocy któraś lepianka została oświetlona, znaczyło to, że zabierają z niej kogoś na przesłuchanie lub-wywózkę. Przed zakwaterowaniem przeprowadzano ścisłą rewizję osobistą, poszukiwano przede wszystkim dewocjonalii, książeczek do nabożeństwa zabierano też zdjęcia, które mieliśmy zrobione razem z naszą mamą. Wszyscy zdolni do pracy w tym 15-16letnia młodzież zostali skierowani do kopalni, pracował też ojciec mój. Dzieciom w tym czasie nie wolno było wychodzić z lepianki, nie było też /początkowo/ dla nich szkoły. Szkołę zorganizowano dopiero po roku pobytu. Była to szkoła rosyjska, dzieci polskie chodziły tam tylko jeden rok. Głównym celem nauki było przekonywanie dzieci o dobrym Stalinie i głupocie wierzących. Powodem dla którego dzieciom polskim zabroniono chodzić do szkoły, był występ "krakowiaków", potajemnie przygotowany przez samych rodziców. Władze uznały ten fakt, jako czyn nacjonalistyczny, godzący w Związek Radziecki. Ojciec mój po roku tej katorżniczej pracy w czeluściach kopalni, ciężko zachorował i w związku z tym został stróżem, ale w sowchozie. Po porozumieniu Sikorski-Stalin, zezwolono Polakom na zmianę miejsca pracy. Wielu w tym czasie wyjechało...do Taszkientu, gdzie również wyjechała moja ciocia Helena Żuber z Wujkiem Józefem i trzema synami. Praktycznie wszelki ślad po tych ludziach zaginął, a oblicza się, że było to około 100tys. Polaków. Wspomniany sowchoz Trojck oddalony od Rakitianki około 50 kilometr. i tu właśnie przeprowadziliśmy się. Ojciec został tam stróżem obory i... pastuchem. Potajemnie doił krowy w butelki i dostarczał mleko wczesnym rankiem dla mnie i brata. Trwało to pewien czas, zresztą zbawienny dla nas małych dzieci, ale kiedyś został zauważony przez kierownika i...jedynie na podstawie wprost nadludzkich próśb nie został oskarżony w NKWD. Na podstawie próśb dostał też zezwolenia na koszenie -trawy na siano. Siano później sprzedał i za otrzymane pieniądze kupił kozę. Mleko kozie ratowało nas dzieci, było w tych warunkach zbawieniem. Do obowiązków moich należało teraz karmienie i dojenie kozy. Dużym dobrodziejstwem w okresie letnim były różne rośliny, również dziki czosnek i cebula. Zbierałam pokryjomu też kłosa zbóż po żniwach, właściwie było to zabronione. Kiedy zdawało się, że nastąpiły nieco lepsze /koza/czasy, nastąpił pobór wszystkich mężczyzn do batalionów roboczych wojskowych. Był to okres kiedy Niemcy podeszli pod Moskwę i Stalingrad. Pozostaliśmy sami p o z o s t a w i e n i n a p a s t w ę l o s u...Ogromna, niepojęta sprzeczność haseł

komunistycznych głoszących trskę o dziecko, a fakt pozostawienie nas bez żadnej opieki w lepiance.

Nastaly ciężkie czasy .Ojciec przyszedł z pracy ,zaczął nas ściskac i całowac-plakał.Nie wiedzieliśmy ,nie rozumieliśmy co się atało.

Szczególnie mnie nakazywał bym się opiekowała młodszym bratem,powiedział że musi nas opuścić.Mysmy NKWD prosili,błagali,plakali dosłownie trzy-  
maliśmy ojca za obie nogi,ale kolbami nas odtrącono.

Ojciec odszedł,nie było go ponad rok.Ja miałam 10 lat,a obowiązków osoby dorosłej.Ojcu proponowano oddac nas do przyjudu-sierocińca,ale wiadomym było ,że panował tam tyfus i praktycznie wszystkie dzieci umierały.Pozostaliśmy sami.Nie było nawet osób nam bliskich.

Kiedy więc ojca zabrakło,sama zdecydowałam się podjąc jakąś pracę.

Zgłosiłam się do roznoszenia poczty w sowchozie bo czytać umiałam.

Za tę pracę orzynywałam 7 kl.mąki.Z mąki gotowałam sobie i bratu zacierkę na wadzie dodawałam koziego mleka.Z gotowaniem były duże kłopoty bo w lepiance piec był taki z wybojami i garnek wywracał się zalewając ogień. Brak też opału bo w tej okolicy nie było lasów,same wysokie góry więc zbieraliśmy na opał bądyle suche,suchy chrust nad rzeką Sakmarą.

Po pewnym czasie dostałam się do żłobka,pilnowałam dzieci,za to otrzy-  
mywałam ja i mój brat,zupę na obiad.Był to rok 1945.

Jesienią tego roku zgłosiłam się Pomagał mi już brat, miał wtedy 7 lat/  
do zbierania ziemniaków.Przy tej okazji kradliśmy te ziemniaki i groma-  
dzili na zimę,uzbieraliśmy sporo.Przy zbieraniu ziemniaków część ukry-  
waliśmy w ziemi,a w nocy wyruszaliśmy z bratem i przynosiliśmy do lepianki

Po zakończonych wykopkach wraca do nas ojciec,był strasznie chory,miał malarię i na tej podstawie został wogóle zwolniony.Radość i smutek.

Cieszyliśmy się,że ojciec wrócił,ale byliśmy bezsilni,by w czymś pomóc cierpiącemu.Oprócz febry malarycznej ojciec miał jeszcze ropiejące rany na szyi,były one wynikiem ostrego zapalenia migdałów.O,jak bardzo przydały się teraz-ziemniaki! Mieliśmy też trochę uzbieranych kłosów,ziarna roz-  
cieraliśmy pomiędzy dwoma kamieniami/jak ludzie jaśskiniowi/,otrzymywa-  
liśmy mąkę,kaszę i z niej robiłam placuszki,krupnik i zacierkę.

Problemem dla nas była sól,ale tutaj po prostu chodziłam po starszych ludziach i zbierałam.Jak już wspomniałam,zbieraliśmy wszystko co nadawało się do zjedzenia,nawet owoce czeremchy.W tym czasie byliśmy wyjątkowo zawszawieni.Nie było przecież mydła,prania.

Muszę wspomniec i tragiczny przypadek,kiedy to pod nieobecność ojca postanowiłam z bratem się utopic.To była wiosna,byliśmy strażnie głodni nie było co jeść.Obok sowchozu Trojc przepływała rzeka Sakmara,która wiosną występowała z brzegów,była bardzo groźna.Poszliśmy z bratem nad jej brzeg i namawiałam brata,żeby wskoczyć do nurtu i raz z sobą skonczyć.

Brat jednak powiedział ,co będzie ,jak ojciec wróci,a nas nie będzie?  
To zadecydowało,że wracając poszliśmy do ludzi,poprosiliśmy o cokolwiek do  
zjedzenia ,dobrzy ludzie dali, wróciliśmy syci i najedzeni.

Ojciec dość długo chorował,dostał w końcu chininę i to postawiło go na nogi  
Po wyzdrowieniu zaczął ponownie pracować na poprzednim stanowisku w oborze  
już było nam lepiej.W tym też czasie było już zorganizowanie tajne nau-  
czenie my z bratem chodziliśmy na takie "komplety".

Nauczała nas nauczycielka polska p.Wasyłczuk Marią,która też była depor-  
towana z mężem na Syberię.Były też przypadki,że nocą potajemnie odwoziłam  
ją nocą do innego sowchozu,a nawet miasteczka.Oczywiście,że zawsze wysiadał  
za przed miejscowością,a ja z koniem i saniami wracałam pod osłoną  
nocy.Pamiętam,że pewnego razu,gdy wracałam nocą,zbliżały się do mnie i  
konia wilki.Koń z przerażenia nie chciałbiebiec-kopyta w górę i rży,  
ale,gdy wilki trochę się oddaliły,popędził,że tylko cudem utrzymałam  
się na saniach.Strach pomyśleć,gdybym wtedy spadła.W tamtych stronach  
okropne były zimy,mrozy,śniegi,zawiejei-wilki.

Miałam też drugą przygodę,kiedy to właśnie zostałam zasypana przez śnieg  
Ojciec wysłał mnie do miasta po odbiór walonek.W drodze wichura,huragan  
zasypał mnie i tylko dzięki przypadkowi zostałam uratowana przez dwóch Roś  
sjan,którzy przechodząc tędy po prostu mnie odnaleźli.Pamiętam,że włożono  
mnie do balii napełnionej śniegiem i tak mnie odratowano.

Wogóle wielu ludzi tam zmarzło,zwłaszcza,gdy trafili na huragan.

Mrozy były tak wysokie,iż zdarzały się wypadki,że koń w drodze zmarłz,  
zresztą była to jedyna okazja,by dostać trochę mięsa i nareszcie się najeseć  
W takich okolicznościach i przy takich warunkach bytowych byliśmy tam do  
kwietnia 1946r.Właśnie w drugiej połowie kwietnia dotarła do nas wiadomość  
że Polacy mogą wracać do Ojczyzny---

Ojczyzny.  
Trudno dziś opisać radość,wiem tylko,że odpowiedzaliśmy się wzajemnie były  
narady, ale pamiętam i śpiewy.Z naszego sowchozu do najbliższej stacji  
kolejowej było 7 kilometrów.Tam wszyscy Polacy wyruszyliśmy pieszo i  
pociągami,na własny koszt musieli dojechać do Czkałowa,gdzie były przygo-  
towane transporty/wagony bydłace/ dla repatriantów.Podróż już w odmie-  
nnych warunkach trwała znowu parę tygodni,aż w końcu przekroczyliśmy  
granice w Przemyślu.Znowu utkwily mi w pamięci te radości,śpiewy,całowanie  
ziemi,gdy znaleźliśmy się w Polsce.Z Przemyśla wyjechaliśmy do Poznania  
a następnie do Karlina,gdzie był punkt PUR-u i gdzie nastąpiło  
rozwiązanie transportu.Za namową p.Wasyłczuk/nauczycielki/udaliśmy się do  
Siemyśla.Ojciec dostał posesję gajowego w Gościnie,a my dzieci,zamieszka-  
liśmy w szkole u pani Wasyłczuk.W Siemyślu mieszkaliśmy około jeden rok,  
a następnie ojciec otrzymał leśniczówkę we Wrzosowie,gdzie mogliśmy już  
wspólnie zamieszkać. W tym czasie ojciec poszukuje naszą mamę,daje ogło-

szenie w gazecie, ale człowiekiem, który dał nam znać o mamie, była pani Medyńska, jedna z pań, która z nami wróciła.

Otoż ta pani wyjechała na Śląsk i tu odnalazła naszą mamę, brata Stanisława i młodszą siostrę naszą Janinę, która urodziła się po naszej deportacji w maju 1940r.

Nasza mama w czasie okupacji ukrywała się wśród znajomych, a po wyzwoleniu wyjechała na Śląsk do Marciszowa k/Kamiennej Góry/.

Tutaj odnaleźliśmy mamę, która była u syna, naszego najstarszego brata Stanisława. Wspomniałam na początku, że uniknął deportacji, ukrył się z mamą. Po odnalezieniu, zaraz przyjechali do Wrzosowa, gdzie brat pracował w gorzelni. Tu też pierwszy raz mogłam poznać swoją najmłodszą siostrę Janinę. Ja zaś ukończyłam szkołę średnią, początkowo otrzymałam nakaz pracy w Gryfinie, a później w Kołobrzegu i tu mieszkam. Od roku 1958 jestem mężatką, rodzice już nie żyją.

Szczególnie boleśnie odczułam śmierć mojego Ojca.

MARZEC DANUTA